

Pismo.

MAGAZYN OPINII

STYCZEŃ 2025 | NR I (85)

REPORTAŻ

Czym bawimy się w pościeli

UKRAINA

Gdy przychodzi po ciebie wojna

Z PISMEM U...

Eleanor Catton

FELIETON

Bigaj o cyfrowym świecie w papierze

CENA: 21,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

0 1 >



9 772544 502500



MAGAZYN OPINII

Pismo.

STYCZEŃ 2025 | NR 1 (85)





Czytaj i słuchaj naszych treści w wygodnej aplikacji mobilnej.

Znajdziesz w niej teksty z papierowych wydań magazynu w dwóch wersjach: cyfrowej i audio. Ponadto czekają tam na Ciebie Audioseriale Pisma, między innymi reporterska historia *Saamowie*. *Wyrzut Sumienia Skandynawii* o ostatnich rdzennych mieszkańcach Europy oraz wszystkie sezony Śledztwa Pisma (w tym piąta odsłona serii wyróżniona jako Podcast Roku 2024), a także dodatkowe materiały, których nie publikujemy w miesięczniku: polecenia kulturalne oraz przedpremierowe fragmenty książek.

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/aplikacja i dowiedz się więcej.



MAGAZYN OPINII Pismo.

STYCZEŃ 2025

PROZA FELIETON

Barcelona | 6
ZOFIA SAWICKA

2 | ROZMOWY Z K. **Wszystko już napisano**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

Manowce | 84
PAUL MURRAY

94 | **O papierach wartościowych i smogu informacyjnym**
MAGDALENA BIGAJ o cyfrowym świecie w papierze

POEZJA

[...] | 3
SZYMON BIRA

96 | **À propos sekstechu**
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

GWIAZDA | 65
ZU WITKOWSKA

37 | **Co w niej trzyma...**
RY X, pyta MATEUSZ ROESLER

OBRAZ

W KADRZE **Jaka piękna katastrofa** | 4
ADRIAN WYKROTA

REPORTAŻ

12 | **Zabawki dla dorosłych – tabu czy norma?**
OKTAWIA KROMER bada rynek gadżetów erotycznych w Polsce

KOMIKS **Pompon i S-ka** | 46
BARTEK GLAZA „HENRYK”

38 | **Nie jestem twoim Jemeńczykiem**
BARTEK SABELA o tych, którzy wyjechali z ogarniętego wojną domową Jemenu

W RAMACH PISMA **Tygrys szczęściarz** | 82
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o LAUREL NAKADATE

54 | **Ślad**
FILIP SKROŃC rozmawia z Ukraińcami, po których przyszła wojna

OKŁADKA **Wulkan miłości**
DOMINIK NAWROCKI

Z PISMEM U...

28 | **Eleanor Catton, laureatki Bookera z antypodów**
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA rozmawia z pisarką o świecie przed apokalipsą

ESEJ

66 | **Hayek: Freudysta z przypadku**
COREY ROBIN tropi wpływ psychoanalizy na wolnorynkową myśl ekonomiczną

72 | **Praca w kulturze. Dlaczego wciąż to sobie robimy?**
ANNA PAJĘCKA przygląda się zmęczeniu pracowników instytucji kultury

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie zarządu:
Urszula Kifer, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn Opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa
Redaktorka naczelna: Urszula Kifer Redaktorki prowadzące: Katarzyna Kazimierowska (sekretarzowanie redakcji),
Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski Felietony: Magdalena Bigaj,
Karolina Lewestam Redakcja: Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Zofia Sawicka, Ilona Turowska
Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska Redakcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz Skład i łamanie:
Marta Juchnowicz-Bierbasz Wydawcy wydania cyfrowego: Ewa Pluta Producent Audioseriali: Mateusz Roesler
Menedżer marketingu i sprzedaży: Paweł Cybulski Media społecznościowe: Marta Szymczyk
E-commerce: Anna Ostrowska Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec Menedżerka fundraisingu: Inez Jaworska

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.

Wwierca mi się w mózg ostatnio pewna myśl i nie mogę się jej pozbyć.

Czy nie uważasz, że współcześnie tworzymy za dużo treści? Nowości w księgarniach jest więcej niż kiedykolwiek, platforma Wattpad pęka w serwerowych szwach, nie wspominając nawet o serwisach informacyjnych, które przy każdym odświeżeniu potrafią nam wypluć coś nowego. Można czytać cały dzień i być głupszym niż przed lekturą. Mrozi mnie za każdym razem, jak pomyślę o miliardach gigabajtów informacji generowanych każdego dnia. Jest to ilość nie do przetworzenia, nie do ogarnięcia, przerażająca jak kosmiczna czarna dziura. Czy to jest to, co po nas pozostanie? Czy przyszłe pokolenia w tym morzu dziadostwa odnajdą te pojedyncze, sensowne materiały?

Chciałabym kiedyś napisać coś własnego, a jestem przerażona, że będzie to tak niskiej jakości, że tylko dorzucę do tej sterty kolejny, nic nieznaczący tekst.

Może przesadzam i jestem w trybie „kiedyś to były czasy, teraz to nie ma czasów”... A może na wszelki wypadek musicie stworzyć kapsułę czasu z numerami „Pisma”, żeby ocalić naszą reputację.

Pozdrawiam

K.

Droga K.

Oj, niedobrze – Twój list stawia ważne pytanie, a zarazem zawiera też komplement dla „Pisma”. Znaczy to, że ludzie znów będą mi zarzucać, że sama do siebie te listy piszę... Ale my, jedna K. i druga K., wiemy, jak jest naprawdę, czyż nie? Cieszę się, że do mnie napisałaś. Ja też się bardzo boję nadmiaru słów.

Bo słów jest, jak słusznie zauważasz, za dużo. Słowa się przelewają, chlupoczą, chlapią, chlustają na nas fale słów. Słowa są jak deszcz, który metodycznie wsiąka w nasze ubrania; niby każda kropla jest maleńka, każda jest tylko drobiną znaczenia, ale płaszcz robi się coraz cięższy, głowa jest coraz cięższa; słowa są jak mrówki, które nas oblażą, jak komary, które wysysają z nas uwagę, uważność, moc. Każdy pragnie wsadzić nam w ucho słowo, a przed oczy litery – nawet metrem nie można się przejechać, żeby nie zahaczać wzrokiem o słowa („Najlepsza kawa w mieście”. „Wpłać na loty balonem”. „Na święta tylko zupki Knorr”). Ekran pluje na nas słowami. To tylko słowa, ale tak jak dla psów Pawłowa dzwonek nie był dzwonkiem, lecz jedzeniem, tak dla nas słowa są światami; nie potrafimy nie biegać duszą za ich znaczeniem, nie potrafimy nie dać się im wywieść w imaginowane pole, nie potrafimy się nie ślinić, kiedy je nam pokazują.

I tak było jeszcze do niedawna, a teraz jest o wiele gorzej; bo wystarczy szepnąć słowa do dużych modeli językowych, które uczą się składania słów, przeglądając miliardy słów, a one wyczarowują legiony słów, potopy słów – i to słów, których przecież nikt nie mówi. Nie ma już Pawłowa, który dzwoni dzwonkiem; dzwonki rozdzwoniły się same, nikt nie wypełni misji takich słów, nikt nie poda nam misek jedzenia, które obiecują zawieszony w pustej przestrzeni słowa, narodzone bez poruszeń mięśnia języka, niepokalanie poczęte słowa.

Droga K., ja też, tak jak ty, myślałam, że w obliczu takiego nadmiaru nie mogę już produkować słów. Ty się bałaś, że Twoje słowa będą jak reklamówka, którą z wysiłkiem dowieziesz łódką do pacyficznej plamy śmieci; ja czułam, że ów potop mnie zgniata, że z własną reklamówką czy bez ja w tej plamie śmieci bezustannie tonę i nie mogę się z niej wydostać.

Ale jedna myśl mi pomogła; przyszła do mnie, kiedy zaczęłam czytać nową książkę Andrzeja Ledera, *Ekonomia to stan umysłu*. Leder pisze, że zamiast myśleć o ekonomii jako o nauce zarządzania ograniczonymi zasobami, trzeba traktować ją jako sztukę zarządzania nadmiarem. I pomyślałam wtedy, że to prawda; że nie tylko ekonomia, ale właściwie całe ludzkie życie to przecież od zawsze nic innego, jak zarządzanie nadmiarem. Od czasu, gdy pierwszy raz otworzą się oczy noworodka, uderza w nie nieskończoność bodźców, którymi jego biedny mózg musi zarządzić, zawęzić pole zainteresowania, nastroić odpowiednie soczewki, żeby widzieć tylko to, co widzieć warto. Możesz mi mówić, że są ludzie ubodzy, którzy nie zarządzają żadnymi nadmiarami; mają jeden chleb i muszą się nim podzielić – ale ja ci na to powiem, że oni już zarządzili nadmiarem zmiennych; chcą bowiem zjeść chleb, a nie zatańczyć, wyrecytować Rilkego, świadomie oddychać, wyruszyć w nieznane, umrzeć z wyziębienia, udawać, że dziergają, ryc widelcem w parapecie. Nadmiar, nadmiar, zawsze nadmiar – wszystkiego na świecie jest za dużo, wszystkiego jest za dużo w umyśle.

A jednak jesteśmy stworzeni, żeby sobie z tym poradzić. Nadmiar nie jest niczym nowym; nowa jest świadomość ogromu tego nadmiaru – a my musimy być po prostu bezlitośni w eliminacji; musimy być ekspertami w budowaniu tam.

Dlatego pisz, K., jakby świat nie był śmietniskiem zapomnianych słów – i pisz tak dobrze, żeby Twoje słowa dostawały glejty na przekroczenie każdego murów granicznych – zobacz, Twój list już spłynął do mnie, a do Ciebie teraz, zawinięty w ciepły papier numeru „Pisma”, płynnie powoli mój. I te dwa listy spotykają się ze sobą, i podają sobie ręce, nie widząc wokół siebie pacyficznej plamy śmieci – w takich chwilach plamy nie ma, jesteśmy tylko Ty i ja.

—
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

POEZJA

[...]

SZYMON BIRA

—

moment przesilenia sprawia
 że wiele rzeczy jest
 możliwych, zarówno tych złych
 jak i tych (przecież) b. dobrych

np. odbudowa miast i wiosek
 (przy tym) jakie możliwości

wystarczy tylko iść w dobrą
 stronę

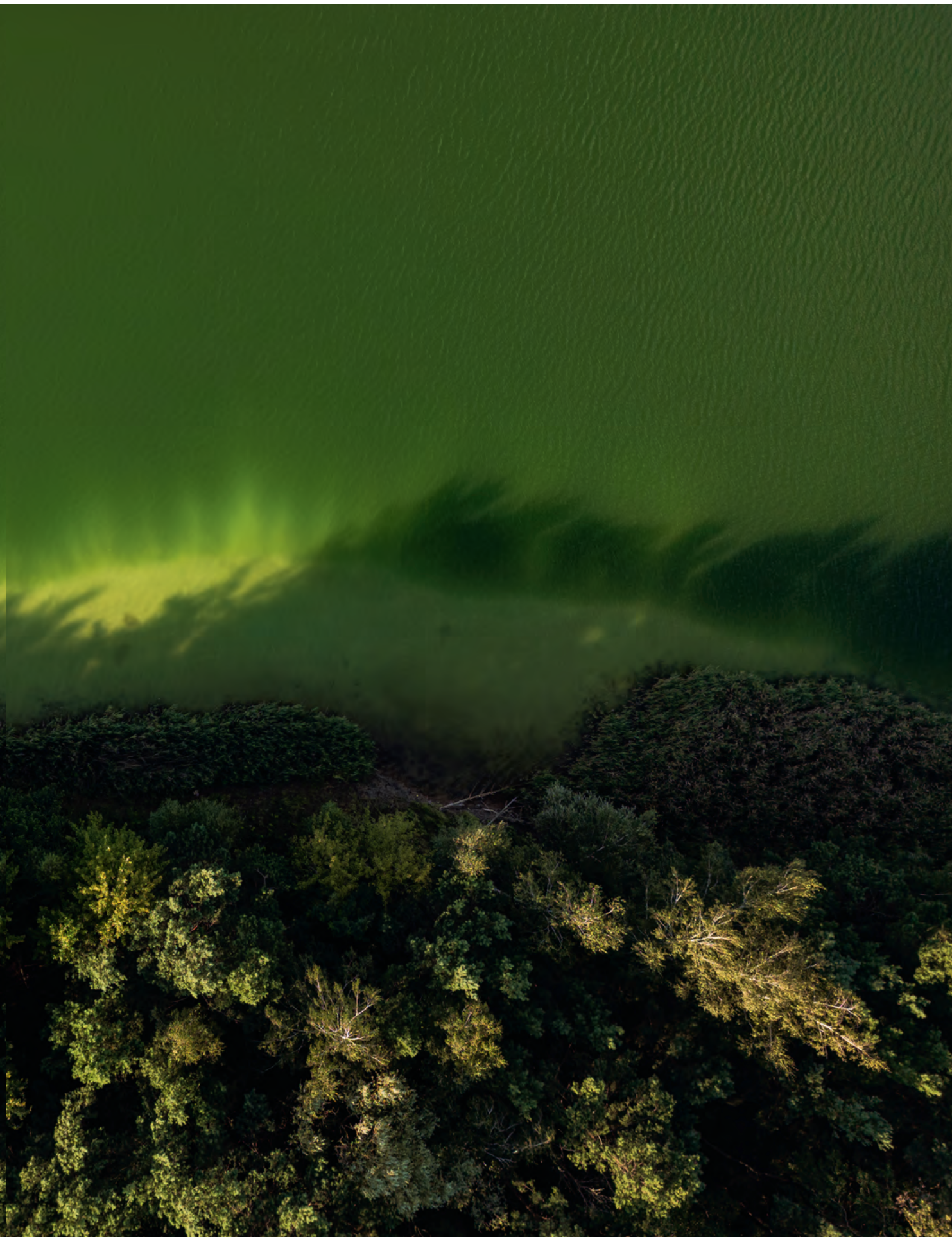
W KADRZE

zdjęcie i tekst **ADRIAN WYKROTA** | cykl *Jaka piękna katastrofa* | Konin, 10 sierpnia 2024 roku

Jezioro Turkusowe jest nazywane polskimi Karaibami. Za charakterystyczny kolor wody odpowiadają związki chemiczne pochodzące z popiołów od lat trafiających do akwenu z elektrowni Pątnów. Woda ma silny odczyn zasadowy, kąpiel w niej grozi więc odczynem alergicznym, a nawet poparzeniem skóry. Niestabilne dno i grząski brzeg stwarzają z kolei niebezpieczeństwo utonięcia.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na magazynpismo.pl/w-kadrze







PROZA

Barcelona

tekst ZOFIA SAWICKA

Barcelona!

Barcelona, Barcelona!

Freddie Mercury i Montserrat Caballé

Euro było tanie tego roku. Nie mieliśmy chłopaków, kotów ani zobowiązań i prawie wszyscy jeszcze nam żyli. P. miał wakacje, a ja właśnie zwolniłam się z pracy, w której robiłam za ikonę prekariatu, nadużywałam komendy „kopiuj-wklej” i pisałam recenzje perfum, których nigdy nie powącham, i elektronicznych gadżetów, na które nigdy nie będzie mnie stać.

– Wyjedźmy gdzieś – powiedziałam. – Może Barcelona?

Barcelona, ponieważ *Smak życia, Cień wiatru*, Freddie i Montserrat Caballé. Więcej powodów nie potrzebowaliśmy. Żadne z nas nie było również w wieku, w którym rozpaczliwie szuka się pretekstu, żeby nie spróbować. P. miał dwadzieścia dwa lata i nic go nigdzie nie trzymało. Jeszcze. Ja miałam dwadzieścia siedem, od dwóch cierpiałam na pełnoobjawowy syndrom końca studiów i też nic mnie nie trzymało, choć już zaczynało mi to przeszkadzać. Nie miałam pojęcia, co chcę robić w życiu, poza tym, że może pisać – coś innego niż recenzje perfum. Koncept odnalezienia siebie, najlepiej z dala od domu, wydawał się dość kuszący. Byłam też zakochana i trochę już tą miłością zmęczona. Chłopak, z którym przespałam się półtora raza i przegadałam dziesiątki godzin na gadu-gadu, jesienią miał wracać z Glasgow do Warszawy, i wiedziałam, że nie mogę zostać w tym mieście, że jest za małe dla nas dwojga. Musiałam wyjechać. Wszystko jedno dokąd. Przecież to ten czas, *coming of age*, tak się w naszym wieku robi, potem będzie za późno, może już trochę jest, w każdym razie dla mnie.

Poznamy ludzi z całego świata, będziemy mówić po angielsku i po hiszpańsku (jak się nauczymy), będziemy trochę pracować, zarobimy masę euro albo chociaż tyle, żeby się zwróciło. Będziemy się bawić jak nigdy, jak na Erasmusie, który mnie ominął, jakby studia ciągle trwały, jakby

wszystko było na chwilę, na jedną noc, bez żalu. Tak właśnie zrobimy, powiedziałam.

Barcelona, ucieszył się P., niech będzie Barcelona.

NA PLATFORMIE Loquo zamieściłam ogłoszenie: „Dziewczyna lat dwadzieścia siedem i chłopak lat dwadzieścia dwa szukają pokoju z dwoma łózkami albo jednym podwójnym”. Tym sposobem znalazło się mieszkanie, całe w purchlastej, perłowej tapecie, z marmurowymi podłogami, wielką gipsową figurą Wenus w przedpokoju i Jezusem wiszącym w kuchni obok kolekcji łyżek. Czworo przyjaciół z Meksyku szukało współlokatorów do ostatniego wolnego pokoju, bo może i euro było tanie, ale mieszkania w Barcelonie drogie. Wieczorami prowadziłam mailowe rokowania z Jorge-Louisem, który w końcu zgodził się, żebyśmy wpłacili kaucję po przyjeździe. „Nigdy tego nie robię, ale mam co do was dobre przecucia, *friends*” – napisał.

Pokryte czarną skórą fotele w samolocie Ryanair przypominały siedzenia w taniej taksówce i tak samo lepiły się do nóg i ramion. Byliśmy cali mokrzy, z upału, ekscytacji, z przestrachu. Bagażu spakowaliśmy niewiele, zaczynaliśmy przecież nowe życie na co najmniej dwa miesiące, po co nam bagaż. Dodatkowe kilogramy kosztują.

Wylądowaliśmy w Gironie, skąd czekała nas jeszcze godzina drogi autokarem. Gdy w końcu zatrzymał się na przeszklonym Estación de Autobuses Barcelona Nord, spojrzeliśmy na siebie w oszołomieniu – jednak to zrobiliśmy. Jesteśmy.

Metro miało czarne, okopcone ściany jaskini, tchnął z niego gorący dech jak z trzewi smoka, pod stopami chrzęściły rozdeptane karaluchy. Przyzwyczajeni do czystego, zabawkowego warszawskiego metra z jedną linią, której plan mieścił się na długopisie, w to barcelońskie zstąpiliśmy z lękiem. Długo studiowaliśmy tajemne mapy, dziesiątki kolorowych, przecinających się linii.

Wysiedliśmy w L'Eixample, nie do końca pewni, czy mieszkanie z Wenus i Jezusem istnieje naprawdę. Jeśli nie istnieje, przepijmy się na plaży, z gotówką poupychaną w majtkach, a potem pomyślimy, co dalej.

Jednak istniało.

Kiedy pierwszy raz wychyliliśmy się z balkonu w salonie, po jednej stronie zobaczyliśmy czubek Sagrada Família, po drugiej czubek fallicznej Torre Agbar. Meksykanie z dumą pokazali nam najpierw widoki, a potem małe pokój z podwójnym łóżkiem. Okno wychodziło na podwórko-studnię z suszącym się na balkonach praniem sąsiadów.

W łazience w brodziku mieszkała małutka, świeżo wykluta z jajka jaszczurka.

UPAŁ NIE ODPUSZCZAŁ nawet po zmroku. Kupiony pierwszego dnia pięciolitrowy baniak z wodą starczył nam tylko na jedną noc, wstawiliśmy po ciemku i ćwiczyliśmy ramiona, podnosząc baniak do ust i pijąc, pijąc, pół litra schodziło na jeden łyk.

Przez sen odsuwaliśmy się od siebie jak najdalej, szeleszcząc prześcieradłami, mrużąc z irytacją na dotyk cudzego łokcia, stopy.

Raz obudziło mnie chłaiście ciała o marmur, to P. spadł z łóżka.

– Myślałem, że jestem na twojej połowie, więc się odsunąłem – oświadczył z pretensją. – A to ty byłaś na mojej.

W tym lepkiem upale nasi meksykańscy współlokatorzy smażyli i gotowali niewyobrażalne ilości mięsa, obtaczali je w chili, żywili się właściwie wyłącznie mięsem i chili, które było nawet w ich słodyczach, doprawionych kwasem cytrynowym czerwonych strzępach, podobnych do pasków suszonego mięsa. Częstowali nas nimi hojnie, bo byli hojni we wszystkim. Hojni i wierzący, wypytywali nas o papieża, zgorzeleni, pochmurniejący, gdy mówiliśmy, że papież obchodzi nas mało w porównaniu do wcale. Meksykanie dużo się modlili i całowali zaciśniętą pięść pod koniec modlitwy, i gotowali, i czasem uprawiali bardzo głośno seks, a nam się nie chciało. Było za gorąco, nawet na modlitwę. Więc kupowaliśmy najtańsze gazpacho w marcecie EroSki i piliśmy je prosto z kartonów, leżąc na naszym ogromnym łóżku, słuchając wrzasków starego Katalończyka z naprzeciwnika, wyłażącego na balkon w rozciągniętej żonobijce.

Raz tylko pokonaliśmy marazm i wydaliśmy w salonie mieszkania przy Carrer de los Castillejos uroczystą kolację. Chcieliśmy odwdziżyć się gospodarzom za ich

gościnność, dać im jakąś namiastkę polskości, jakiś przedsmak papieskiej kremówki. W tym celu udaliśmy się do polskiego sklepu mieszczącego się tuż koło Sagrady, przy skwerze, o którego ławki od lat toczyli wojnę bezdomni z Polski i bezdomni z Rosji (nasi chwilowo wygrywali). Za ciężkie euro nakupiliśmy chleba, smalcu, białego sera, czosnku i kiszonych ogórków. Meksykanom najbardziej smakował smalec, ogórków spróbowali przez grzeczność. Kiedy zaproponowałam Pięknemu Pablitowi wypicie ogórkowego soku wprost ze słoika, zachwalając, że to dobre na kaca (*resaca*), pozieleniał, a potem powiedział uprzejmie, lecz stanowczo, że bardzo mnie lubi, ale nie ma kaca.

— ZNALEŻLIŚMY SOBIE pracę, bardziej dla rozrywki niż z konieczności. Przez kilka dni chodziliśmy po knajpach ze sfalszowanymi referencjami, z których wynikało, że w gastronomii robimy nie od dziś, jesteśmy gwiazdami baru i zmywaka. Pierwszą robotę dali nam jednak dopiero na plaży. Mieliśmy zachęcać opalających się ludzi do odwiedzenia podmiejskiej dyskoteki, o której istnieniu dowiedzieliśmy się pięć minut wcześniej. Nikt nie chciał brać od nas ulotek, dopiero śliczna Amerykanka ze złotą opalenizną wyjaśniła nam, w czym rzecz: „Jesteście całkiem biali, przyjechaliście chyba wczoraj, nigdy tam nie byliście, nikt wam nie wierzy”. Porzuciliśmy tę pracę po trzech godzinach.

Wkrótce znaleźliśmy lepszą i bardziej na stałe. Polegała na wciskaniu turystom ulotek restauracji przy Plaça Real. Zarabialiśmy od sztuki, jedno euro za jednego nagonionego klienta. Na czarno, ale za to z niepisaną umową, że co noc po robocie barman zrobi nam za darmo dowolnego drinka z karty. Nas przekonywało.

W pracy na ulicy najlepsi ze wszystkiego byli ludzie. Stara, chrypiąca dziwka heroinistka, która chyba nie miała już klientów, w każdym razie nie takich, którym życie byłoby miłe, wołała na mnie *guapa* i chciała papierosów, i częstowała ją zawsze, drogimi jak diabli zielonymi marlboro z automatów stojących po knajpach i na rogach ulic. Neurochirurg z Chile rozdający ulotki konkurencyjnej knajpy, Pakistańczyk

ukrywający puszki piwa w studzienkach kanalizacyjnych, wyjmujący je tuż po tym, jak w sklepach wybijała godzina prohibicji, i jedna bardzo piękna transa na niebotycznie wysokich obcasach. Trzymaliśmy się razem, przegadywaliśmy te godziny pracy. Uczyliśmy się od naszych współtowarzyszy prawdziwego imienia miasta, Barfelona, Barfelona, tak jak ich ktoś wcześniej nauczył. Równoległe do nas, ale jakby w innym świecie, pracowali dilerzy narkotykowi, nie rozmawialiśmy z nimi, okazywaliśmy im zimną pogardę, w sumie nie wiadomo dlaczego, bo skręty przy Plaça Real krążyły wieczorem z ręki do ręki, paliło się zgodnie, z dziwką, transą, Pakistańczykami i neurochirurgiem z Chile.

Tuż przed północą, zmuleni Piña Coladą albo Sex on the Beach, wtuleni w siebie, wracaliśmy ostatnim metrem na Carrer de los Castillejos.

– Słuchaj, a jak właściwie wracają do domów kierowcy metra, ci z ostatniej zmiany? – zapytał P. sennie, gdy tunele wciągały nas coraz głębiej w podziemia Barcelony.

– Autobufem.

— RANO MIELIŚMY wolne. Rano zaczynało się po dziesiątej, od kawy, przeważnie na Plaça Orwell, wysmarowanym graffiti, pełnym śpiących na ławkach narkomanów, nie zawsze całkiem żywych. No i psów – żółtych, zapchlonych, wiecznie drapiących się tylną łapą w ucho. Wytatuowany po szyję smukły barista pozdrawiał nas po imieniu i robił kawę tysiąclecia, czarną, uderzającą prosto w skronie.

Z Orwella mieliśmy już blisko na brudną plażę miejską, gdzie oferowano kokosy, kolę i szybkie masaże. Piasek był szary, wystawały z niego pety i papierki po lodach. Zebrani w grupki starzy Katalończycy z niesmakiem podszytym fascynacją obserwowali opalające się topless stare niemieckie turystki. Leżały na plecach, miedziane i lśniące, rzucając wyzwanie prawu ciężenia, ze sztywnymi kopolami piersi celującymi prosto w niebo. Twarde, żyłaste, czerwone jak indiańscy wojownicy z implantami. Czułam się przy nich miękką i bezbronna, starannie poprawiałam ramiączka stanika, zazdroszcząc Niemkom męstwa.

Raz dla odmiany wyprawiliśmy się na czystą, wysypaną białym piaskiem gejowską plażę w Sitges. Tam, wiedziona nieznanym impulsem, natychmiast zdjęłam z siebie prawie wszystko, wystawiłam najbielsze, najskrzętniej dotąd ukrywane kawałki ciała na słońce, sól i zupełnie obojętne spojrzenia mężczyzn. Wcześniej kupiliśmy z P. po ćwiartce arbuza i teraz wgryzaliśmy się w czerwone mięso owoców, sok ściekał nam po łokciach i piersiach, mieszał się na skórze z solą i kokosową emulsją do opalania. Ja mogłabym się dodatkowo wytarzać w brokacie, nikt by nie zwrócił uwagi, ale P., choć nagi w tym samym stopniu co ja, kulił się pod gradem pożądliwych spojrzeń.

– Weź mnie za rękę, dobrze? – mamrotał, gdy spacerowaliśmy brzegiem morza. Więc brałam go za rękę, rzucałam ostrzegawcze spojrzenia lśniącem, naprężonym, muskularnym facetom, rozwalonym na koczach dwójkami, trójkami, pozerającym P. wzrokiem. Macałam ich oczami po ciałach, aż zaczynali się niepokoić moim zainteresowaniem, aż odwracali wzrok od P. Wtedy rozluźniałam uścisk.

– Może jednak wolisz, żebyśmy puściła?

– Nie. Jeszcze nie. To za dużo, ich jest za dużo.

Odnajdywaliśmy siebie, ale bardzo, bardzo ostrożnie.

Po południu wracaliśmy, z włosami zlepionymi solą, z piaskiem w gaciach i między palcami stóp. Rozwaleni na łóżku czytaliśmy hiszpańskie gazety. Rozumiałam tekst całkiem dobrze, z każdym artykułem coraz lepiej.

– Słuchaj – mówiłam, ciągnąc palcem po literach. – Pedofil.

– Co?

– Pedofil... doładuje nam... komórkę, jeśli wyślemy mu nasze nagie zdjęcia.

– Dawaj!

— WIECZORAMI po pracy (albo zamiast) chodziliśmy na imprezy. Nie od razu wpadliśmy na ten pomysł, ale jak już wpadliśmy, to po uszy. Zaczęło się, kiedy w naszym salonie z widokiem na Sagradę i Torre Agbar zamieszkały Judith i Christine, dwie dwudziestoletnie Amerykanki w podróży życia – Jorge-Louis wynajął im kanapę w ramach

niezbyt chyba legalnego Airbnb. Już pierwszego wieczora ruszyliśmy z nimi w miasto, na fali ich młodości i entuzjazmu. Potem poszło z górki, w naszym życiu nagle pojawiły się tłumy fascynujących ludzi z całego świata. Ktoś, kogo nie znaliśmy, znał kogoś, ktoś inny znał knajpę otwartą do rana, ktoś do kogoś przyjechał albo właśnie wyjeżdżał. Tańczyliśmy po dyskotekach i po placach, rozmawialiśmy z obcymi ludźmi po angielsku, francusku i włosku, kilka kolejek później nawet po hiszpańsku. Opowiadaliśmy im nasze stosunkowo krótkie życia, piliśmy z nimi, czasem paliliśmy skręty, czasem się z nimi całowaliśmy. Prawie jak w *Smaku życia*, tylko fabuły mniej i znacznie mniej z tego wszystkiego osiadało w pamięci. W jakimś odległym, chłodnym zakątku głowy prowadziłam jednak buchalterię, odnotowywałam skrupulatnie każdą rozmowę, każde dłonie, każde usta. Gromadzenie doświadczeń jako element odnajdywania własnego „ja”, zapisywałam na słóczkach z preparatami, ale nie byłam wobec siebie szczerą.

W rzeczywistości potrzebowałam po prostu materiału dla chłopaka z Glasgow, z którym wciąż jeszcze wymieniałam od czasu do czasu wiadomości na gadu, chociaż naprawdę, naprawdę nie powinnam była. Od paru lat dość regularnie robiliśmy sobie subtelne krzywdy słowami i milczeniem, dziś znalazłyby się pewnie na to jakieś angielskie słowa, *ghosting*, *zombieing*, *haunting*, ciąg nawiedzeń i niedopowiedzeń, wtedy jednak nazywaliśmy to po prostu chorym układem, czasem miłością, choć bez większego przekonania. Chęć dowalania sobie była w nas silna, rozkosznie żywa, jego opowieści o koleżankach przyjeżdżających do Glasgow i zostających na noc dźgały mnie w dumę, drażniły boleśnie i zarazem ekscytowały, musiałam się odwzięczyć, odpłacić, skrętnie zapisywałam więc w pamięci każdy barceloński pocałunek. Każdy był jak pocisk. Nie wypuszczałam ich z siebie pojedynczo, na gadu milczałam jak sfinks, tajemnicza i odległa gwiazda Barcelony, pracowałam nad bronią masowego rażenia. Lepiłam z pocałunków kulę, bombę wodorową do zrzucenia mu na głowę w najdogodniejszym momencie, kiedy się nie będzie spodziewał.

— MOŻE GDYBY nie to, nie przydarzyłby mi się Damian. Pracował na zmywaku w knajpie kawałek dalej.

– Nie zabij się, kotku – usłyszałam, gdy się potknęłam z moimi ulotkami na bruku Placa Real. – *Please, don't kill yourself* – poprawił się szybko, niepotrzebnie.

Damian przeżywał w Barcelonie swoje najlepsze życie, zachłystywał się wolnością, dziewczynami, dyskotekami i alkoholem, bo przecież.

– Bo przecież – westchnął, markotniejąc – za dwa–trzy lata trzeba będzie zakręcić się za jakąś dziunią, jakiś ślub, jakieś dzieci.



– Dlaczego? – zdziwiłam się, a wtedy Damian zdziwił się bardziej. On tu miał najlepsze życie, które za chwilę miało się skończyć, więc zaraz po robocie pędził na Nou de la Rambla, do dyskoteki Apollo, wypachniony, wyczesany, nażelowany. Chciało mu się bardziej niż nam, wszystkiego. Nawet w łóżku śpieszył się trochę za bardzo, żeby się nachapać, nadażyć.

Please, don't kill yourself.

Zdawało mi się, że coś w nim przeczuwam, że wiem, kim się wkrótce stanie. Czulałam, że złapałam go w najwspanialszym momencie, na chwilę przed metamorfozą. Rok, może dwa lata później już wcale by mi się nie spodobał, ale na razie podobał mi się bardzo. Może właśnie dlatego, że wkrótce miał się przeistoczyć – w jednego z tych głośnych, zawsze zbyt mocno wyperfumowanych facetów z własną firmą, skłonnością do tycia w karku i ugruntowanymi poglądami.

Ale na razie był królewną przyrzeczoną złemu królowi, był więźniem politycznym i zakładnikiem sumienia, i wiedział, że jego dni są policzone. Gdzieś tam, w dalekim kraju, czekała nieznana dziunia i nienarodzone dzieci, i dom w sajdingu, cały na biało. Wiedziałam, że Damian lęka się swojego losu: gdy mówił o tych przyszłych powinnościach, jego ręka bezwiednie wędrowała do krzyżyka na szyi, i nie wiedziałam, czy w Bogu szuka pociechy, czy raczej usiłuje zerwać pętlę z szyi. Łącuszka nie zdejmował nawet do łóżka i smutny, sponiewierany Jezusek brał niekiedy udział w naszych rytuałach godowych, dyndając mi rytmicznie tuż przed twarzą. Było to złe, ale seks z Damianem ogólnie był raczej zły. Jak również jakoś tam interesujący, nigdy dotąd nie spałam z katolickim chłopcem. Miał ładne, wyrzeźbione pracą fizyczną ciało, może trochę zbyt krępe, ale pasowała mi ta hobbicia uroda, miałam fazę i fantazję na taką urodę. Znaleźliśmy w sobie pocieszenie, ja, więzień miłości, i on, więzień powinności.

Raz tylko zapytałam, czy nie chciałby znaleźć wyjścia z tego zakłętego kręgu, ale on go nie widział. Tak trzeba, powtarzał, i był całymi pokoleniami chłopów pańszczyźnianych i kowali synów kowala. Doskonale wiedział, kim jest i czego Bóg od niego oczekuje, przyszłość rysowała się przed nim ciemno i wyraźnie. Może dlatego na chwilę do niego przylgnęłam, bo sama nie wiedziałam, kim jestem i co mam robić, a w Boga nie wierzyłam. Nawet w sobie już nie do końca wierzyłam, dotyk Damiana trochę mnie urealniał, osadzał przynajmniej w jakiejś roli. Dziwacznej laski, z którą wprawdzie nie układa się życia ani sajdingu, ale na wakacje jak znalazł.

Trochę się go przed P. wstydziłam, nawet ich sobie nie przedstawiłam. Nigdy też, nawet po wyjeździe P., nie zaprosiłam Damiana do podwójnego łóżka przy Carrer de los Castillejos.

— KTÓREGOŚ DNIA pod koniec sierpnia, bardzo rano, P. odebrał telefon z Polski. Siedzieliśmy potem na krawędzi łóżka, milczący, sparaliżowani szokiem. W końcu otworzyłam laptopa i kupiłam pojedynczy bilet powrotny. Potem towarzyszyłam P. w jego

pożegnalnej wędrowce przez duszną Barcelonę. Spróbowaliśmy dotrzeć do wszystkich ludzi, których tu poznał, w knajpach, na ulotkach, na plaży. Trzymałam go za rękę, wędrowaliśmy ulicami, przesiadaliśmy się z metra w metro, z linii w linię, piliśmy coraz więcej i więcej, caña za caña, przytuliśmy się mocniej i mocniej, *my father just died*, mówił P. prawie obcym ludziom, *I'm sorry, brother*, odpowiadali oni.

Pod koniec dnia odprowadziłam P. na nocny autobus, który miał go zawieźć do Girony. Kiedy wyszłam z budynku dworca, było dawno po północy i metro już nie jeździło.

Zwykle po zmroku drogę do domu wskazywała nam rozświetlona Sagrada Familia, ale gdy tamtej nocy o trzeciej nad ranem wracałam z drugiego końca miasta, zniknęła i nagle zostałam sama w ciemnościach, zgubiona pośród uliczek Barcelony, pierwszy raz przestraszona, pewna, że nie odnajdę drogi, że spotka mnie w mrocznych zaułkach tego obcego, niemojego miasta jakiegoś nieszczęście, że już nie ujrzę poranka. Cienie zbierały się za spiętrzonymi górami śmieci u wylotów ślepych uliczek, blask latarni wyznaczał wyspy światła w ciemności. Barcelona nie dawała żadnego schronienia, nawet stacje metra pozaciągano ciężkimi kratami, żeby nikt nie mógł się dostać, a może żeby nic nie mogło wydostać się na zewnątrz. Co ja tu robię, tak daleko od domu, tak bardzo sama, bez jakiegokolwiek planu?

Z mroku wychynął mały, chudy staruszek. Szedł spokojnie, krokiem spacerowym, ciemność ustępowała przed jego pewnym krokiem, był u siebie. Podbiegłam do niego, jakby był ostatnim człowiekiem na ziemi, *Señor, Señor. Perdona, sabe usted dónde está la Sagrada Familia?* Zatrzymał się. Tam, odpowiedział, wskazując w ciemność. Jak to tam, tam nic nie ma. Jest tam, upierał się. Wciąż jej nie widziałam, któreś z nas musiało się mylić. W końcu, łagodnie i cierpliwie, wziął moją rękę, odgiął palec tak, żeby dotykał niewidzialnej iglicy.

– *Mira. Mira la.*

I nagle Sagrada była na czubku mojego palca, ciemna jak całe miasto.

– Wygasili ją na noc – wyjaśnił. Ale już ją widziałam, już nie musiała dla mnie

świecić. Wpatrując się w ciemną gwiazdę Sagrady, ani na chwilę nie spuszczać jej z oka, dotarłam szczęśliwie do miejsca, które wtedy nazywałam domem.

Zrozumiałam, że zostałam sama – z wielkim łóżkiem, Barceloną i ze sobą.

—
WE WRZEŚNIU straciłam pracę na ulotkach. Menedżerka knajpy wróciła do Barcelony po kursie marketingu w USA, wezwała mnie do siebie i powiedziała, że z pewnością jestem *very nice person*, ale moje zaangażowanie w misję ich placówki gastronomicznej jest za małe, stanowczo za małe. Trudno było nie przyznać jej racji.



Skończyły się też imprezy. Amerykancki dawno wyjechały, Meksykanów prawie nie widywałam, spędzali całe dnie w pracy; podobnie Damian, który ze zmywaka przeniósł się na budowę. Pustkę zapełniałam miastem, sumiennie zbierałam pieczętki na Barcelona Card, każdego dnia inne muzeum: Casa Batlló, Montserrat, Fundació Joan Miró. Stałam się nagle przykładną turystką intelektualistką, mogłam godzinami wędrować z notesikiem pośród obrazów, rzeźb i instalacji, mogłam robić za eksponat.

Bardzo tęskniłam za P. Regularnie wysyłałam mu zdjęcia: kafelki w metrze, krzywy Gaudiego, *wish you were here*. Myślałam, czy by nie wrócić do Warszawy, ale to wydawało się poddaniem partii, wywieszeniem białej flagi. Ostatecznie wyjechałam po to, żeby coś zmienić, żeby przerwać jakiś ciąg zdarzeń. Zresztą w Warszawie zaraz miał

pojawić się chłopak z Glasgow, a ja nie czułam się na siłach żyć z nim w jednym mieście. Nasza relacja była przecież wirtualnym fantomem, napędzała ją iluzoryczność i niemożność spotkania. Ilekroć widzieliśmy się na żywo, starannie poukładany świat wymykał się nam spod kontroli. Właśnie wtedy, w Barcelonie, postanowiłam jednak z tym skończyć. Nie opowiedziałam mu o ani jednym barcelońskim pocałunku, zamknęłam sztylety w szafie. Przestałam odpowiadać na jego wiadomości i pierwszy raz poczułam, że znikam. Że i mnie wygaszają na noc.

Przestraszyłam się tego uczucia, a jeszcze bardziej – że mi się spodobało. Szybko zapisałam się do szkoły językowej dla cudzoziemców, żeby coś zrobić z porankami, żeby mieć do kogo otworzyć usta. Nie było źle, ekipę mieliśmy w porządku, międzynarodową. Malutki, czarnooki i czarnowłosy Niemiec Manuel, rozmawiając z Polakami, wciąż walił się w pierś w sprawie Hitlera i powtarzał: *shame on us*. Martina podczas wspólnego wypadu na sushi nauczyła mnie słowa ośmiornica po czesku (*je to chobotnice*), ja nauczyłam ją po polsku i reszta nie rozumiała, dlaczego wciąż zaśmiewamy się do rozpuku z siebie nawzajem. Wiecznie senny Brytol Laurie był niewysoki, podobny do najseksowniejszego z hobbitów (Sama). Miałam wielką ochotę się z nim przespać i prawie mi się udało, naprawdę mało brakowało, ale przyjechała do niego koleżanka z Anglii, koleżanki zawsze przyjeżdżają nie w porę i wszystko idzie w diabły. Na szczęście był jeszcze Dean z Australii, świętny kompan do łożenia po mieście i dziwnych akcji w stylu: budujemy rzeczy z klocków lego w Fundació Joan Miró.

Ale i tak każdy, kogo tam poznawałam, zostawał w mieście najwyżej na tydzień, zaraz wyjeżdżał, ruszał gdzieś dalej, odchodził. Więzy rozluźniały się, nim się jeszcze zawiązały.

Zapragnęłam zniknąć bardziej.

—
W POŁOWIE września Damian wyjechał do Saragossy, do pracy przy wypalaniu sedesów w wielkim piecu. Wpadłam tam na weekend, głównie, żeby zobaczyć EXPO, całe o wodzie, z wyłupiastooką niebieską maskotką imieniem Fluvi. Ale do Damiana

trochę też, w końcu musiałam gdzieś przemocować. Przestraszyłam się, widząc go na dworcu. Twarz i dłonie miał spalone na ciemną czerwień, skóra schodziła mu z nosa, jakby spędzał całe dnie na jakiejś demonicznej plaży (i nie było to Sitges). Uciekłam od tego widoku prosto na wystawę światową, pełną wody, chłodu i plusku, i pawilonów narodowych. Do mikropokoju z oknem wychodzącym na szyb wentylacyjny wróciłam dopiero wieczorem. Seks na wąskim wyrku był jak obowiązkowy punkt programu podczas nudnej wycieczki, jak kupowanie chińskich pamiątek od szwagra kierowcy autokaru. Poza tym było mi niewygodnie, prawie się nie poruszałam z obawy, że zrobię Damianowi krzywdę, naruszę jego delikatną skórę, zepsuję całkiem dobrego chłopaka.

– Może byś wrócił? – spytałam po wszystkim, prosząc popiołem w popiel. – Gdzie?

– No, do Barcelony. Spojrzał na mnie jak na nienormalną.

– I co bym tam robił?

Wzruszyłam ramionami. To, co wszyscy przecież – dobrze się bawił, szwendał się od knajpy do knajpy po Barri Gòtic, odwałwał numery, odnajdywał siebie. Kto, mogąc mieć Barcelonę, wybiera Saragossę?

– Bo co niby można tutaj robić? Szukać rękopisów?

Tylko zmarszczył brwi.

– Tu mi wreszcie sensownie płacą.

Szukałam argumentów, nie znajdowałam, nie rozumiałam jego egzotycznych zachcianek, nie rozumiałam, dlaczego nie mógłby mi sprawić tej jednej drobnej przyjemności. Niewiele czułam do Damiana, ale mimo wszystko byłam nieco urażona, że bardziej niż na mnie zależy mu na ceramice sanitarnej. Skoro jednak praca była dla niego taka cholernie istotna, spróbowałam podejść go właśnie od tej strony.

– Przecież ta robota to jakiegoś niewolnictwo.

– Dziewczyno, czemu ty się mnie czeplasz? Ty mi będziesz gadać o wolności?

Miał rację.

Wróciłam do Barcelony.

Wiedziona niezrozumiałym impulsem, zaczęłam przepuszczać oszczędności, nie na doznania i wrażenia, tylko po

staremu: na rzeczy, na ciuchy. Euro było tanie. W punkowych butikach kupowałam bluzki w czarno-białe paski, z szarymi i czarnymi koronkami, dziurawe dżinsy i kabaretki, kupiłam nawet torbę z Che Guevarą. Wyglądałam coraz bardziej obco, czasem kłamałam nowo poznanym ludziom, że mam więcej lat, innym razem – że mniej. Nikt mnie tu nie znał i mogłam być każdą, szkoda, że mi się nie chciało. Bawiłam się myślą, że gdyby zjawił się tu chłopak z Glasgow, to też już by mnie nie poznał, mogłabym przed nim udawać kogoś zupełnie innego, moglibyśmy zacząć od początku, nie od wbijania sztyletów. Ufarbowałam włosy na fioletowo i w brudnym zakładzie pełnym pięknych ludzi z cudownymi tatuażami i niepewną pcią dałam sobie przekłuć dolną wargę, bo bardzo podobały mi się piercingi dziewczyn i chłopaków w metrze. A przecież byłam jedną z nich, byłam dzieckiem Barcelony, mogłam wyglądać, jak chciałam. Prawie nie istniałam.

Rzuciłam szkołę językową, opuściłam muzea, nawet plażę i sklepy. Przez jakieś dwa tygodnie, chyba siłą rozpędu, chodziłam jeszcze bez celu po mieście. Wsiadałam w metro, wysiadałam na przypadkowo wybranej stacji i przemierzałam ulicę za ulicą, całymi kilometrami, dziwiąc się samotności, którą wszędzie można zabrać ze sobą. Stawałam bez ruchu przed którymś z nieruchomych ludzi pomników na Ramblach, czekałam, aż turyści wrzucą mu parę euro do kapelusza. Kiedy, słysząc brzęk monet, pomalowany na złoto lub biało artysta wreszcie wykonywał jakąś stałą sekwencję ruchów, zginał się w ukłonie, obracał na pięcie – ja też ruszałam w drogę. Wystukiwałam samotność na bruku, na karalusznych truchłach w tunelach metra.

Wieczorami wracałam do wielkiego łózka, piłam wino prosto z kartonu, oglądałam filmiki z kotkami i Almodóvara na torrentach. Czasem otwierałam okienko gadu-gadu, zawieszałam palce nad klawiaturą, żeby spytać, czy tak samo samotnie jest w Glasgow, czy tam też charakter odchodzi od człowieka równie gładko. Ale ostatecznie rezygnowałam, przypalałam kolejną fajkę, podpalałam kolejny most. Nocami z balkonu wypatrywałam ciemnej gwiazdy Sagrody.

Glasgow pomału przestawało istnieć, podobnie jak Warszawa, była tylko Barcelona ze mną w środku. Stopniowo zaczęłam traktować ją jak swoją. Odkryłam, że już nie muszę po niej chodzić – byłam w niej i to mi wystarczało. Jakby nic się nie zmieniło, jakbym nigdy znikąd donikąd nie wyjeżdżała.

Najpierw przestałam wsiadać do metra, ograniczyłam się do Eixample, okolicznych barów i polsko-rosyjskiego skweru. Ale to też nie trwało długo. Wkrótce wystarczało mi już samo przechodzenie na drugą stronę ulicy, po zapasy do marketu Ero-Ski i automatu z fajkami. Wreszcie przestałam wychodzić nawet ze swojego pokoju. Meksykanie jeszcze przez kilka dni do mnie zaglądali, pytali o samopoczucie i plany. W końcu przestali, przyzwyczaili się do milczenia, do niebieskiej poświaty laptopa sączącej się spod moich drzwi. Może sądzili, że robię coś sensownego, że któreś nocy otworzyłam plik tekstowy i zaczęłam – jak się czasem odgrażałam – pisać powieść życia, i już nie mogę przestać. Że nie należy mi przeszkadzać, bo właśnie wyłamiam się z Barcelony jak feniks z popiołów. Nie zamierzałam wyprowadzać ich z błędu.

Nie wiem, jak długo jeszcze by to wszystko potrało, pewnego dnia zorientowałam się jednak, że kończy mi się kasa. Po krótkim namyśle odnalazłam numer telefonu do rodziców. Poprosiłam ich o przelew, wypchałam plecak ciuchami z Zary, wyjęłam kolczyk z wargi. A potem kupiłam bilet na samolot i wróciłam do Warszawy.

— JEDYNE, co od tamtego lata przetrwało do dziś, to moja przyjaźń z P. (*friends until the end*). Mamy niepisaną umowę, że obcym ludziom nie opowiadamy za wiele o tym czasie. Co się wydarzyło w Barcelonie, zostaje w Barcelonie.

Nic się nie wydarzyło w Barcelonie.



Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/proza

REPORTAŻ

Zabawki dla dorosłych – tabu czy norma?

tekst OKTAWIA KROMER

BRANŻA GADŻETÓW EROTYCZNYCH w ciągu ostatnich siedmiu lat wzrosła na świecie prawie trzykrotnie. Na pierwszych od dekady targach erotycznych w Polsce rozglądam się za nowinkami i dowiaduję, co już odchodzi do lamusa.





W yglądają jak cukrowe pianki, beziki, lody włoskie. W kolorze budyniu śmietankowego, malinowego, jagodowego smoothie. Bardzo lekkie, małe, mieszczą się w dłoni. Pastelowe pudełeczka, na nich napis „Marshmallow” oraz informacja, że są *eco-friendly*, łatwe do mycia, pasują na każdy rozmiar.

– Mogę dotknąć? – pytam nieśmiało. Mogę. Mięciutki, chłodny w dotyku materiał żłobią wypustki w różnych wzorach. Kate, pracowniczka czeskiej firmy Lola Games, wprawnie wywija piankę na drugą stronę, żłobkowaną w inny sposób (do użytku nadają się obie strony). Sztuczna pochwa Marshmallow marki Honey Play Box, która właśnie w tym roku weszła na polski rynek, to jedno z moich pierwszych zaskoczeń na targach EroChainExpo w hali Expo XXI w Warszawie w czerwcu 2024 roku. Tak, te pastelowe słodkości powstały po to, by nurkowały w nich penisy. By się zanurzały, wynurzały, ejakulowały. Z tym, że są *eco-friendly*, polemizowałabym – przedstawicielka marki sama przyznaje, że ładne są tak naprawdę przez pierwszych dziesięć zastosowań, potem zaczynają niszczyć. Prawdziwie ekologiczne, jak zapewnia, są za to ich opakowania – bez plastikowych wypełniaczy.

Kilka stoisk dalej widzę sprzęty o tym samym przeznaczeniu, ale w całkiem innej stylistyce. Masturbator automatyczny Blowjobcast – czarny, pokaźny obiekt z twardego tworzywa sztucznego ABS i silikonu, przypomina blender kielichowy skrzyżowany z konsolą PlayStation. Waży kilogram, ma uchwyt na telefon i osiem trybów pracy, które zapewniają uderzenia i pulsacje. Prezentuje mi go mężczyzna, który przyjechał na targi z Holandii. Trochę dalej to samo stoisko – bestsellerowa amerykańska kolekcja Fleshlight Girls z wizerunkami gwiazd porno na kartonikach. Lana Rhoades i Mia Malkova to tylko dwie z kilkudziesięciu kobiet, które użyczyły producentowi swoich wagin do wykonania „wiernych odlewów” w materiale przypominającym w dotyku ludzką skórę.

Targi EroChainExpo to pierwsze od dekady tak duże wydarzenie branży erotycznej w Polsce. W 2013 i 2014 roku w tym samym miejscu odbyły się targi EROtrends,

a w latach 1998–2006, w różnych lokalizacjach w Warszawie, w atmosferze skandalu i nie zawsze legalnie, organizowano z kolei niesławne targi Eroticon. Na tych ostatnich ustanawiano kolejne seksualne rekordy świata – w 2003 roku jeden z nich pobili Marianna Rokita, która uprawiała seks z 759 mężczyznami w ciągu ośmiu godzin, w 2004 roku wynikiem 919 kontaktów seksualnych pokonała ją Amerykanka Lisa Sparxxx. Współorganizator EroChainExpo, Dawid Kustra, stanowczo odcina się od poprzedników. Na jego targach regulamin zakazuje nie tylko publicznego uprawiania seksu i masturbowania się, lecz także epatowania nagością. Niesubordynowanym mają zwracać uwagę specjalnie w tym celu zaangażowani wolontariusze.

– EroChainExpo to wydarzenie kulturalne, z klasą, bez skandali – przekonuje.

Rozmawiam z Kustrą w październiku, kilka miesięcy po zakończeniu targów. Gdy wracam myślami do tego wydarzenia, mam w głowie słowa „kulturalny” i „z klasą”, próbując ocenić, czy mają tu zastosowanie. Na pewno było tak na piętrze, gdzie odbywały się warsztaty, między innymi na temat otwartych związków, seksbiznesu, operacji plastycznych części intymnych (łącznie 17 wydarzeń). Na parterze wystawcy (41 stoisk) prezentowali seksgadżety, oferowali usługi (między innymi projektowanie specjalnych mebli BDSM [skrót od *Bondage, Discipline, Sadism, Masochism* – przyp. red.]), a gwiazdy porno w specjalnie wyznaczonej strefie rozdawały autografy i robiły sobie zdjęcia z fanami. Tam też przeważnie było kulturalnie, choć z wyjątkami.

Na jednym ze stoisk natrafiłam na banner z apelem: „Wyruchaj z nami rynek”. Paradoksalnie należał on do firmy spoza branży – FIRE Crew (Financial Independence, Retire Early) – która obiecuje pomoc „w młodym wieku przejść na emeryturę inwestycyjną”, „wyrwać się z matrixa i pracy od 9 do 17”. Przy tym stoisku, podobnie jak przy kilku innych, napotkałam panie ubrane wyłącznie w stringi, biustonosze i szpilki, nigdzie nie widziałam za to wolontariuszy, którzy upominaliby je za epatowanie nagością poza tą dozwoloną w ramach performensów. Na parterze była też scena, na której odbywały się pokazy

erotyczne, raczej niezbyt wysublimowane, choć rzeczywiście – nikt nie uprawiał na scenie seksu i tym bardziej nie bito żadnych rekordów.

Rozglądając się po hali Expo XXI, próbowałam stworzyć sobie w głowie obraz typowego uczestnika, ale publiczność była zbyt zróżnicowana. Młodzi mężczyźni w T-shirtach i dresach, umięśnieni i z ogolonymi głowami, dziewczyny w samej bieleźnie i szpilkach, z powiększonymi ustami i biustami, ale i osoby z wyglądu całkiem zwyczajne, wydające się nie mieć związku z branżą, w tym zetki – alternatywki z kolorowymi czuprynymi, torbami z festiwalu muzycznych. Pojedynczo, w gronie znajomych, w parach. Mężczyźni w średnim wieku w garniturach i pod krawatami, starsi panowie w koszulach w kratę i czapeczkach z daszkiem.

Według danych organizatorów targi w ciągu dwóch dni odwiedziło około 5 tysięcy gości (w tym około 400 osób określiło się mianem gości biznesowych, *trade visitors*). Deklarowana płęć: 54 procent mężczyzn, 46 procent kobiet. Zwykle mieli od 25 do 34 lat (46 procent) lub od 35 do 44 lat (29 procent). Spodziewano się większej frekwencji, ale organizatorzy i tak są zadowoleni, zwłaszcza w obliczu problemów marketingowych związanych choćby ze skandalami wokół poprzedników.

W opublikowanym kilka dni po wydaniu artykule na portalu vizeb.pl jeden z (byłych już) ambasadorów EroChainExpo, aktor porno Marcin Synowiecki, zarzuca organizatorom, że ich podejściem rządziła „kasa, nie klasa”. Jako mężczyzna i ambasador ze środowiska LGBT+, jak pisze, poczuł, że został wykorzystany do rozreklamowania targów wśród swoich fanów. Zaskoczył go widok „roznegliżowanych pań niczym z wulgarного porno” i brak reprezentacji jego środowiska w strefie VIP (z fanami spotykały się tam tylko aktorki kierujące filmy do heteroseksualnych mężczyzn). Kustra broni się, odpowiadając, że negatywne opinie o targach są odosobnione, a wydarzenie było inkluzywne, bo pojawiły się na nim osoby z różnych grup społecznych, w tym queerowe i z niepełnosprawnościami.

Nie da się ukryć, że branża gadżetów erotycznych weszła do naszego życia